№ 19. Warszawa, dnia 30 Kwietnia (12 Maja) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KARTKA WSPOMNIEŃ
Z WOGEZÓW.

Zebrała

W. Ł. z R. J.

(Dalszy ciąg.)

Przenieśmy się w epokę w której Gallowie zajmowali lewą stronę Renu, sto lat przed Cezarem, a pięćdziesiąt przed wielkiem najściem Cymbrów i Teutonów.

Równina Alzacka była natenczas pokryta cała lasami i pastwiskami. Widziana z wysoka przedstawiała skórę tygrysa centkowaną zielonemi plamami.

Te plamy, to rozsypane wioski z okrągłemi drewnianemi domami, pokryte dachami z korzeni drzew, zamieszkałe przez lud rybaków i strzelców.

Czcili oni Wogezusa, bożka Wogezów. Gallowie przedstawiali go sobie jako pasterza wyniosłego wzrostu, pędzącego przed sobą stada dzikich koni i bydła, jakie zaludniały wtedy te nieprzebyte lasy, lub jako rycerza olbrzyma z maczugą, wspartego o krawędź skały, z obliczem ku Germanii zwróconem. Czcili także Rhenusa, boga Renu, starca z zagniewaną twarzą, któremu przyznawali proroczą władzę.

Lecz po nad wszystkie te bóstwa miejscowe, panowały tu wielkie bogi aeryańskiej Gallii, Ezus, Tarann, Bellen, których kult był w rękach Druidów, a których widywano na szczytach gór. W późniejszych czasach Alzacya miała swoją górę świętą i rzecz dziwna, była nią istniejąca po dziś dzień jeszcze, gdyż jak zobaczym, legenda chrześciańska wryła się w miejsca uświęcone przez stary kult pogański. W chwili tej zapomnijmy, że się znajdujemy na górze św. Odyli i zmieńmy wznoszący się tu pod jej imieniem klasztor w świątynię Słońca, jaką ją wtedy uwieńczyła. Tak przez położenie, jak kształt swój, góra ta jest najwidoczniejszą w Alzacyi.

Umieszczona na widoku, przeznaczoną była ku czci wieków.

Na dziesięć mil spostrzegać się daje wyniosłość ta o płaskim szczycie, której Menelsztejn tworzy zrąb lewy i jest jej punktem kulminacyjnym.

Prawy zrąb, tworzy skała samotna z ostrym wierzchołkiem obrosłym lasem jodeł, tworząca twierdzę strażniczą.

Klasztor dziś stoi na niej, lecz przed dwoma tysiącami lat wznosiła się tu świątynia Bellena, która nosiła nazwę Góry Słońca. Stańmy na skale Menelsztejn z południowego boku płaskowskórza, a ujrzymy widok o wspaniałości i dzikości olśniewającej przeciwieństwami. Góry i równiny nikną w obszarze.

Zwaliska Andlau i Spesburga, tak majestatyczne, gdy się na nie z dołu patrzy, nikną w głębokościach jak kretowiny.

Cztery lub pięć łańcuchów gór, następują jeden za drugim jak ocean, którego skamieniałe olbrzymie bałwany przechodzą z jasno zielonej do błękitnej barwy i które zdają się walić na siebie.

Od strony zielonych wierzchołków, rozciąga się nieopisany powab i spokój równiny.

Rozlewa się ona wokoło jak winnica bez końca, ze swemi łąkami, dzwonicami kościołków, kępami drzew aż po Czarny-las. W pogodne letnie wieczory Alpy zębate iskrzą się w oddaleniu, tworząc miraż aeryański pod mglistą linią gór Jura.

Przestrzeń pokryta jałowcem, zajmuje wierzchołek góry, który się zgina w podkowę. Jeden wszakże przedmiot zwraca tu szczególnej uwagę, jest to stary mur długi, który otacza płaski wierzch góry.

Mur ten zbudowany z olbrzymich tafli Wogezeńskiego granitu z gruba ociosanego, lecz tak szerokich i tak ściśle spojonych, że się nie ruszył od wieków.

Miejscami kamienie wpijają się w skałę, wspierają o zrąb góry, nazwanej ciałem Bellona w mowie Celtyckiej.

Niekiedy mur według natury gruntu zbiega w przepaść, żeby napowrót wpełzać na wyniosłość.

Na blizko dwu milową przestrzeń otacza on cały wierzch góry.

Dawniej, lud uderzony potęgą budowy jego, przypisywał wzniesienie go szatanowi, zkąd nazwa dostała mu się „Muru pogańskiego”. Ni ludzie, ni żywioły przez wieki naruszyć go nie były w stanie. Ni siła piorunów, ani korzenie podkopujących się jodeł, wzruszyć go nie zdołały.

Pokryły go warstwami swych igieł, przebijały się do wnętrza korzeniami, lecz zeschłe w tej pracy umarły, a mur niewzruszony został panem góry, którą wieńczy i wytrwa dopóki ona trwać będzie.

Jakikolwiek jest wiek tego wspaniałego muru, nad odgadnięciem początków którego wyczerpała się umiejętność starożytniów, pewnem jest że miał on na celu obronę wierzchołka góry. Kamienie ofiarne rozsypane po górze i dolinach sąsiednich, nazwy niektórych miejscowości wszystko świadczy, że góra ta w czasach Celtyckich była miejscem kultu religijnego. U stóp tej góry jak i otaczających ją skał bez liczby, które wieńczą Wogezy, widzim rozsianą tu wielką moc głazów różnej wielkości. To według podania „Mówiące kamienie”.

Z tyłu po za wierzchołkami nagich gór, lub nad przepaściami, leżą owe wiekowe olbrzymy panując nad oceanem zieleni. Są to świadkowie niemi wieków ubiegłych.

Kiedy w noc ciemną przyłożysz ucho do którego z nich otulonego mchową pościelą, usłyszysz śmiechy albo westchnienia melodyjnie dobywające się z wnętrza głazu.

Jest-że to wiatr igrający dowolnie w szczelinach skał? lub drżenie harmonijne gałęzi sosny stuletniej?

Wiejskie dziewczęta powiedzą ci, że to opowiadanie bogów którzy podnoszą przeszłości zasłonę i przyszłość wróżą.

Posłuchajmy przeto opowiadań wiekowych tych głazów, starając się wskrzesić z nich sceny jakich one były świadkami przed najściem Rzymian.

Istniały w Gallii Celtyckiej cztery miejscowe punkta religijne, gdzie składano ofiary z różnych części kraju.

Odbywano tam w różnych epokach polityczne, religijne, wojenne i sądowe zebrania. Miejscami temi był: Karmut (Chartres) w obwodzie Gaule, Karnae w Bretanii, Alaise w Besançon i góra d'Ell albo Bellen, dzisiejsza góra św. Odili. Ta ostatnia była strażnicą Gallii na granicy Germańskiej.

Druidowie przybywszy z Bretanii z Kimrisami, owładnęli rząd religijny i polityczny Gallii, przynieśli z sobą nowych bogów i doktrynę o życiu, duszy i życiu przyszłem.

Ta doktryna złączoną była z kultem ciał niebieskich w jaki oni tylko i ich uczniowie byli wtajemniczeni.

Co do ludu utrzymywanego w bojaźni pod władzą tychże kapłanów, był on przypuszczonym do czci bogów wyższych, nie będąc jednak wtajemniczonym w ich naturę.

Nic bardziej wątpliwego nad nieświadomość.

Bogowie ci zamieszkiwać mieli wierzchołki gór i dzikie wyspy oceanu.

Góra Bellen, nadawała się dziwnie do kultu tego. Wielkie uroczystości miały tu miejsce w zimie i podczas lata, gdy gwiazda zwycięzcy dobiegała zenitu.

Wielka mnogość Gallów przybiegała wtedy z północy i wschodu, obozując u stóp Góry Słońca.

Tłum jednak nie był dopuszczanym do udziału w obrzędach, jak tylko w nocy. Strażnicy pilnowali dróg i prowadzili przybywających z płonącemi pochodniami w ręku.

Wchodzono najprzód „w ponurą dolinę”. Było to królestwo pełne grozy, bogów złego i szatanów ziemi.

Tu i owdzie w zagłębieniu, przy świetle stosami płonących jodeł, błyszczało ostrze noża ofiarnego.

Niekiedy krzyk ofiary, naśladowany lub rzeczywisty przebijał słuch, dreszczem wstrząsając.

Zwolna przez gąszcze zarośli, ścieżkami otaczającemi górę jak wstęgi, wchodzono na wyższe jej wyniosłości.

Dosięgano wreszcie szczytu oświetlonego blaskiem księżyca, gdzie przybywający korzyli się przed Sironą, Dyanną Gallijską.

Po różnych rodzajach uroczystych śpiewów, o świcie, zbliżano się wierzchołkiem do świątyni Bellen, zakazanem jednakże było profanom przestępowanie potrójnego jej obwodu pod karą śmierci.

Wszystko co mogli otrzymać, było dozwolenie ujrzenia Boga samego, słońce wschodzące z po za Czarnego-lasu, ozłacające promieniami swemi świątynię wspartą na siedmiu kolumnach po nad przepaścią.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Czemże jestem?

Czemże jestem dla Ciebie? pyłem, ziarnkiem [piasku,
Kroplą wody, co w głębiach oceanu tonie,
Zeschłym liściem, błądzącym z wiatrem po zagonie,
Kwiatem, co więdnie w słońca jesiennego blasku.

Czem jestem, powiedz? myślą nie ujętą słowem,
Jakiejś rzewnej piosenki oderwaną nutą,
Nicią pajęczą, z marzeń wiosennych wysnutą,
Lekkim podmuchem wiatru w skwarze południowym.

Czemże Ty jesteś dla mnie? perłą na dnie morza;
Gwiazdą przewodnią, która gęste życia zmroki
Rozprasza i nie daje wkraczać na bezdroża,

Orłem, co śmiały polot wznosi nad obłoki,
Ideałem nad którym szczęścia wschodzi zorza,
Wspomnieniem, co ślad w sercu wyryło głęboki.

Emilia.

SOKRATES I KSANTYPA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

PRZEZ

Teodora Banvilla.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchińskiej.

OSOBY:

Sokrates.
Ksantypa, żona Sokratesa.
Antisthenes.
Praksyas.
Eupolis
Draces.
Myrrhina, żona Dracesa.
Melitta.
Bacchis.

Rzecz dzieje się w Atenach, w roku 429 przed Chrystusem.

Teatr przedstawia mały dziedziniec wewnętrzny w domu Sokratesa. Po prawej i lewej ręce, drzwi prowadzą do wewnętrznych pokoi. Wzdłuż muru z obu stron, ciągnie się rząd małych kolumn, połączonych w górze wystającym gzymsem. W głębi gruby mur a na nim taras pełen myrtów i rozkwitłych oleandrów. W pośrodku muru większe drzwi, prowadzą do sieni. Kilka krzeseł pokrytych poduszkami. Na prawo łoże do spoczynku. Za podniesieniem kurtyny Sokrates stoi nieruchomy, mówi wolno, oczy podniósł w górę jakby ścigał jakiś niewidzialny obraz.

SCENA PIERWSZA.

Sokrates, potem Ksantypa.

SOKRATES.

Szpetne ciało ponosi obelgi od świata,
Lecz dusza rączym pędem ku gwiazdom ulata,
I z niemi nieskończone przebiega błękity.
Istny potwór, oczami wokoło pokryty,
Szamocze się w odmęcie, to z dreszczem zachwytu
Z łona czarnej otchłani zrywa się do szczytu,
I nawet przeciw śmierci, ma ochronę pewną
W swej cnocie...

KSANTYPA (wbiegając woła na głos).

Sokrates!

(Na stronie.)

On głuchy jak drewno!

(Występuje naprzód sceny i mówi do publiczności.)

Patrzcie obywatele jaki z niego człowiek!
Zdarza się, przez noc długą nie zamruży powiek.
Martwy jak głaz, utopion w marzeniach bez końca;
Nie dawno, od jednego do drugiego słońca,
Stał tak, nierozbudzony jutrzenką różową.
Z okiem w słup, z ust ni jedno nie zbiegło mu [słowo.

Dziwak! po co mu gonić mary nieścignione?
Kto powie, że on młody, że młodą ma żonę!
Nie wie czy je, czy pije, czy głodny, czy syty.
Ledwie ma lat czterdzieści!... Że niepospolity
Ma rozum, przyznać trzeba, lecz co z niego bę-[dzie,
Gdy mu na głowę puchy upadną łabędzie?
Biegam, wołam, kołaczę, śmieję się... nie słucha,
Krzyczę, a tak mu głos mój dzwoni mimo ucha,
Jakby brzęczała pszczółka na Hymetu szczycie.
Bądźcie chwilkę cierpliwi a wnet zobaczycie:
Przemówię w taki sposób, że ten człowiek z głazu,
Donośne moje słowa posłyszy odrazu.

(Krzyczy)

Sokratesie, ty zdrajco, włóczęgo, szalony,
Sykofancie, złodzieju!

SOKRATES (jakby zbudzony ze snu, łagodnie).

To nic, to głos żony.

KSANTYPA.

Piękne to rzeczy słyszę?

SOKRATES.

Mów... i cóż się stało?

KSANTYPA.

Alcybiades myślą uniesion wspaniałą,
Śle ci złoto i srebro. Z jakiej-że przyczyny
Zwracasz dar?... mówże przecie...

SOKRATES.

Cnota skarb jedyny.

KSANTYPA.

Charmida niewolników przysyła nam w darze,
Ja śpiesznie im na pole, do pracy iść każę,
A tyś ich porozpędzał, mnie na złość...

SOKRATES.

Nikomu
Na złość czynić nie zwykłem, ale w naszym domu
Cóż po nich?

KSANTYPA.

Niech pracują, niech przysporzą chleba.

SOKRATES.

Ten prawdziwie bogaty, komu nic nie trzeba.

KSANTYPA.

A czem będziemy żyli? czy wiatrem? czy rosą!
Ty, włóczysz się za miastem, gdzie oczy poniosą,
Aby tłumy przekonać — silisz rozum cały —
Że białym czarny kolor, a że czarnym biały.
Jeszcze gdyby tę mądrość co im oczy mami,
Opłacali przynajmniej sowicie drachmami!
Ale nie, w tobie nie ma odrobinki dumy,
Twoją mądrość kupują te bezmyślne tłumy
Za nic, tyle też warta... gdyby cię choć zwali
Mistrzem!

SOKRATES.

Niech się tak mienią ci ludzie zuchwali
Co wierzą w swe mistrzowstwo.

KSANTYPA.

Piękne mi rzemiosło!
Idź... gdy tak zdanie ziomków twą mądrość po-[dniosło,
Idź, z ręką podniesioną prawić im androny;
Nauczaj ich jak człowiek z gliny ulepiony,
Subtelnego demona kryje w swym rozumie,
Co dobrego i złego zaród poznać umie,
Idź, nauczaj tę zgraję mądrości spragnioną,
I czemuż się nie ruszasz?

SOKRATES (łagodnie, wychodząc).

Idę, idę żono.

SCENA DRUGA.

KSANTYPA (sama).

Wściekam się, odszedł cicho, kroki poważnemi,
Spokojny, pewien siebie... nie, na całej ziemi
Taki los, żadnej pewno nie przypadł niewieście!

(Zwracając się do publiczności.)

O! niewiasty ateńskie! jest-że w całem mieście
Jak ja biedna istota!.. Mam męża, co zrywa
Wszelkie z życiem człowieka łączące ogniwa.
Żaden ostry go pocisk dosięgnąć nie może,
Niczem go nie rozgniewam, niczem nie zatrwożę.
Szczęśliwsze wy ode mnie! jeśli z drogi prostej
Zboczy która na chwilę, to nie ujdzie chłosty.
Mąż bije winną żonę, taka u nas moda,
Ale po krótkiej burzy, jak miłą pogoda!
Smutny dni moich wątek, splata się inaczej.
Mój niedźwiedź... ten się nigdy rozgniewać nie [raczy,
Próżno krzyczę, żółć wszystką wydobywam z sie-[bie,
On mówi: to nic... chmurka przemknęła po nie-[bie,
To minie... lecz ja nie mam tak niezłomnej du-[szy:
Sprawię tak, że Sokrates wreszcie się poruszy.
Wiem co zrobię, za głownię pochwycę bez trwogi,
Mściwą ręką zapalę dom na cztery rogi,
A kiedy mój filozof zaryczy ze złości,
Dopieroż śmiać się będę!

(Spostrzega Sokratesa, który idzie otoczony gronem uczniów i niewiast.)

Idzie... chmara gości
Wlecze się w ślady za nim... ha! szalone zgraje
Przestąpcie tylko progi... ścicha się zaczaję,
A potem zobaczycie jaką siłę wściekłą,
Tchnęli wielcy bogowie, w piersi mojej piekło!
Usunę się na chwilę...

SCENA TRZECIA.

Sokrates, Draces, Antisthenes, Praksyas, Eupolis, Melita, Bacchis, obywatele i niewiasty ateńskie.

SOKRATES (wchodząc w pośród tłumu pełnego poszanowania).

Drodzy przyjaciele!
Proszę wnijść, kubek wina niech z wami podzielę.
Kto spragniony, niech pije, a kto prawdy chciwy
Niech słucha... mówię szczerze.

DRACES.

Strumień wiecznie żywy,
Płynie przez usta twoje, mądry Sokratesie,
W onych czasach żałoby, ręka twoja niesie
Jasną pochodnię światła — twe natchnione słowo
Rozprasza mrok i drogę nam wytyka nową.
Ja chętnie porzuciłem i trzody na łące,
I pola złocistemi kłosy falujące,
I me progi domowe i Myrrhyny czary,
Jestem tu...

SOKRATES (do Dracesa).

Tak-że wielkie spełniłeś ofiary?

(Do Ateńczyków)

Rozprószmy, drodzy moi, grobowe uśpienie
Co nam cięży na duszy!...

(Do Antisthena)

Pytasz Antisthenie,
Zaliż nam dziś przyoblec nakazują nieba
Żałobę po Atenach?

ANTISTHENES.

Mów, co czynić trzeba?
Napróżno z lwią śmiałością i lwiemy pazury,
Zdobyliśmy warowne Solionu mury.

EUPOLIS.

Złupili Argolidę...

DRACES.

I dla świętej sprawy
Do Zacyntu spartańskie odepchnęli nawy.

EUPOLIS.

Wczora mieliśmy wojnę, jutro krew zrumieni
Nasze wzgórza!..

ANTISTHENES.

Zwycięzcy w wawrzyn uwieńczeni!
A przecież Archidamos naostrza żelazo
Na kark nasz!...

DRACES.

I Ateny dotknęli zarazą!

ANTISTHENES.

Potrzeba żyć surowo...

EUPOLIS.

Niech nam się już nie śni
O ucztach i zabawach...

DRACES.

O wesołej pieśni.

EUPOLIS.

O sztuce, której świat nam oddawna zazdrości.

DRACES.

Nie rzeźbić nam figurek ze słoniowej kości.

ANTISTHENES.

Precz z lirą!...

SOKRATES (ironicznie).

Wasza mądrość na temże spoczywa?

(Do Praksiasa)

Cóż ty na to, Praksyasie?

PRAKSYAS.

Szalony kto zrywa
Nić złotą, co połyska w Aten życiu całem,
Ah! nam za promienistym gonić ideałem!
Z uroczych kwiatów sztuki splatać wieńce świeże,
Nie pogardzać wam sztuką, waleczni szermierze!

SOKRATES.

Rzeźbiarzu, słusznie mówisz... tak, spartańczyk [srogi,
Szydziłby z nas, gdybyśmy zbiegli z naszej drogi
A poszli jego torem. Ty ateńska dziatwo
Co wdziękiem i dowcipem szermierzysz tak łatwo,
Mistrze dłuta, poeci, których pieśń skrzydlata,
Nad gajami rozkwitłych wawrzynów ulata,
Nie pozwólcie Spartanom, by patrzyli z chlubą,
Na chmurne lica nasze i na odzież grubą.
Cobądź los nam gotuje, tryumfy czy klęski,
W świecie sztuki Ateńczyk nad Spartą zwycięzki,
Niech ją szczodrze własnemi bogactwy obdzieli,
Ty nieś im mistrzu dłuta, bogi śnieżnej bieli,
A ty Eupolisie w komizm tak bogaty,
Szczyptę soli atyckiej, wy ozdobne szaty
Ślijcie spartańskiem siostrom, hoże Aten córy,
Bo kiedy promień pięknie przyświeca nam z góry,
Niechże pod niebem naszem wdzięk cudnie roz- [kwita,
Niech uśmiech z ust nie zbieży, choć łez dusza [syta;
Bądźmy Ateńczykami! wszak nam w żyłach pły- [nie
Krew bohaterskich ojców, słynnych w Salaminie.
Bądźmy jak oni dzielni, jak oni bez trwogi.
Kiedy nas twardą stopą przycisnął Pers srogi,
Gdy nad nami bogowie sami wiekuiści
Ronili łzy, kto konał najpiękniej?... artyści!...
Niejeden, co zrumienił krwią zapasów pole,
Muza mu pocałunek złożyła na czole.
Kiedy pijany chwałą na brzegi Attyki
Kserkses nieprzeliczone rzucił zapaśniki,
Gdy Azya zalała powodzią kraj cały,
Wtedy rzeźbiarz i malarz i wieszcz pełen chwały
Bronili, o! Pallado! dzielnie swego grodu!
Mężnie legł on Eschilles poczczon od narodu,
Co na grobie swem kazał krótkie wyryć słowo:
„Znał go dobrze Med dziki z rozczochraną głową."
Gdy nam przyjdzie w pomroku szermierzyć z kolei,
Niech nam przyświeca pamięć bozkich Propylei!
Wkoło świętych przybytków niech krąży myśl [nasza,
Gdzie niebian odtworzyło dłuto Fidyasza.
Aby nam duch nie upadł w prób stanowczej [chwili,
Czyńmy to, co przesławni ojcowie czynili.
I dla nas do zapasu błyska nowa doba,
Sofokles i Eurypid żywi jeszcze oba,
Na czole ich Eschyla kwitnie bluszcz zielony;
Niech nas uczy w teatrze poeta natchniony,
Jak w kraju, co się rozrosł w dniach próby i klę- [ski,
Cudotwórcza pieśń wieszczów rozbudza hart męzki.
Złote ziarno na każdem posiewajmy polu,
Patrzą na nas bogowie z wyżyn Akropolu,
Dalej mistrze za lirę, za pędzel i dłuto!
Tkaczu, chwyć cewkę nićmi purpury nasnutą,
Siejmy zboże na roli, w sadzie szczepmy drzewa,
Niech nam kłosy falują, niech owoc dojrzewa,
Opiewajmy olbrzymów, budujmy świątynie!
A niech między żywymi cześć umarłych słynie,
Bądźmy wielcy jak oni! przykład ich bez ceny!

WSZYSCY.

Niech nam żyje Sokrates!
Niech żyją Ateny!

PRAKSYAS (podnosząc pełną czarę).

Chwała ci Sokratesie!

MELITA (pijąc).

Bądź od nas poczczony!

(Podczas gdy wszyscy otaczają mistrza i przyklaskują mu z uwielbieniem, wpada Ksantypa z groźną postawą.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Charakterystyka paznokci.

Jeden z zagranicznych dzienników podaje dosyć trafną i dowcipną charakterystykę paznokci. Autor tego artykułu dowodzi, że fizyologowie nietylko z zagłębień czaszki i rysów twarzy odgadywać mogą charakter człowieka, ale także i z kształtu paznokci.

Trudno w zupełności zgodzić się z owym nieznanym autorem i raczej powiedzieć można, że paznokcie nietyle mogą nas objaśnić o charakterze ile o stanowisku jakie człowiek zajmuje w społeczeństwie.

Nie naszem jednak zadaniem jest rozstrzygać, czy wynalazca charakterystyki paznokci ma słuszność lub nie; przytoczymy tu więc tylko co ów „paznokciolog" mówi o charakterystyce paznokci. Otóż pisze on, że paznokcie służą do ochrony nerwów dotykowych i że dla utrzymania ich w należytej czystości potrzeba niemało ponosić trudu, gdyż ciągle są narażone na stykanie się z rozmaitemi przedmiotami.

Kto zatem posiada paznokcie zawsze czyste, a postać ich foremną, ten z pewnością nie potrzebuje zajmować się czynnościami, któreby na to nie pozwalały.

Starannie zatem wypielęgnowane paznokcie są oznaką, że właściciel ich należy do lepszej sfery i naodwrót, paznokcie zabrudzone świadczą, że człowiek, który je posiada ciężko pracując, nie ma czasu na ich odczyszczanie.

Podobny wniosek możemy wyciągnąć z paznokci kończastych i wystających po za palce. Miewają je też zwykle ludzie bogaci, arystokraci, arystokratki, ale także i krawcy, gitarzyści, urzędnicy bankowi i t. d.

Długie, poczernione nieco atramentem paznokcie, zdradzają człowieka oddanego pracy literackiej i pośpiesznej, gdy przeciwnie paznokcie krótko ucięte, miewają najczęściej poeci, uczeni, którzy żyją po największej części zamknięci w sobie, ale wobec świata niezaradni, jak słabe dzieci. Wogóle krótkie paznokcie, po za które wystają palce, są zawsze oznaką dobroduszności, poddania się pod władzę drugich i cierpliwości wobec ciosów losu.

Mężczyzni, posiadający takie paznokcie, nie powinni się nigdy żenić, gdyż dostaną się niezawodnie pod... pantofel. Spokojnymi, chociaż nie pozbawionymi energii, są ludzie posiadający paznokcie gładkie u brzegów zaokrąglone, a ci, którzy lubią, by takie paznokcie nieco po za palce im wystawały, odznaczają się zazwyczaj śmiałym charakterem i zręcznością. Są to ludzie, którzy wszędzie i zawsze umieją dać sobie radę. Paznokcie różowe prawie przezroczyste, zdradzają usposobienie czułe, wesołe i towarzyskie; mężczyzni z takiemi paznokciami bywają chętnie w towarzystwach kobiecych, a jeżeli pokochają, to miłość ich wyradza się nieraz w szał, zwykle jednak krótko trwający.

Zupełnie innymi są ludzie z paznokciami grubemi, nieprzezroczystemi i twardemi; tacy bywają samolubnymi, skąpcami, dla uczuć delikatnych nieprzystępni, nie są nawet zdolni uczuć litości. Ludzie tacy są dzielnymi w życiu praktycznem, lecz lubianymi być nie mogą.

Kto zaś na paznokciach miewa białe kropki bywa szczęśliwym. Kto wreszcie paznokcie obcina nierówno, ten może być przygotowanym na różne nieprzyjemności; kto zaś jest tak nieuważnym, że paznokcie jego są po brzegach dłuższe niż w środku, temu wróżą nieprzewidziane zdarzenia, małżeństwo nieprzypuszczane nigdy a w pożyciu późniejszem częste... bliźnięta.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Obiad się skończył i lokaj otworzył drzwi do salonu. Pani Hérault wstała od stołu i nie wspierając się na ramieniu Klemensa ani też wnuka, pierwsza przeszła do salonu, pozostawiając za sobą Emilię i dwóch młodych ludzi. Na małym stoliczku stała już przygotowana kawa. Pani Hérault zwróciła się do panny Lereboulley:

— Proszę cię kochanko — rzekła — wyręcz mnie i nalej kawę tym panom a jeśli chcą nam zrobić tę grzeczność i trochę dłużej posiedzieć z nami, to możesz im pozwolić wypalić obrzydliwego papierosa.

— Emilia gniewałaby się, gdybyśmy nie chcieli palić — odezwał się Ludwik, gdyż sama nie miałaby sposobności zapalić papierosa...

— Jest-to uprzejmy sposób przypomnienia mi raz jeszcze jak jestem źle wychowaną osobą, nieprawdaż Ludwiku? — przerwała mu panna Lereboulley.

A wstrząsając głową dodała po chwili z odcieniem gorzkiego smutku:

— Naucz się raz już Ludwiku uważać mnie za istotę wyjątkową. Nie jestem podobna do innych kobiet i dlatego też chciałam się wyzwolić, o ile to jest w mej możności, z niewoli na jaką skazana jest płeć do której należę. Pragnęłabym być chłopcem, aby posiadać niezależność i do uzyskania tej

niezależności dążę wszystkiemi siłami. Pozbawiona tych wszystkich drobnych uciech niewieścich, które przyczyniają się do szczęścia kobiety, nie mogę myśléć o stroju i o możności podniesienia nim nieistniejących wdzięków... Przy mojej brzydocie, byłoby to więcej niż szaleństwem! Nikt się nie stara o moje względy, chociaż nie zbywa mi na konkurentach, którzy naturalnie zalecają się do mojego posagu a nie do mnie... Wielu już pragnęło się ze mną ożenić, skoro jednak młody mężczyzna powie mi z westchnieniem: „Panno Emilio, jesteś zachwycającą!” ja pod melodyę jego romansu inne podkładam słowa i powtarzam sobie w duszy: „Panno Emilio, jesteś bogatą!” Wtedy odsyłam mojego nieproszonego konkurenta i jego miłosną spekulacyę do wszystkich dyabłów a sama szukam ulgi na moje zmartwienia w przyjemnościach jakie mi zapewnia swoboda. Wychodzę więc kiedy mi się podoba, bywam gdzie chcę, sama powożę się końmi, mówię o wszystkiem i czytam książki bez wyboru; palę papierosy z mojemi przyjaciołmi i jestem prawie takim samym urwisem jak ty, mój kochany Ludwisiu, z wyjątkiem, ma się rozumiéć, twoich złych obyczajów... Chociaż mówiąc nawiasem, nie moja w tem może zasługa.

I wykręciwszy się na pięcie jakby dla okazania wszystkich braków swej upośledzonej figury, zaśmiała się głośno. Poczem wydobywając z kieszeni bardzo ładne srebrne pudełeczko, wyjęła zeń eleganckiego papierosa, zapaliła go i puściła kłąb dymu w twarz swojego towarzysza.

— Wyliczając swoje wady zapomniałaś o jednej, panno Lerebouilleu — odezwał się spokojnie Thauziat.

— I o jakiejże to mój kochany?

— Usiłujesz przedstawić się gorszą niż jesteś w istocie i w tem różnisz się od ogółu ludzi, którzy zwykle starannie ukrywają swoje wady. Pomimo jednak tej dążności, wiemy wszyscy, że jesteś dobrą i szlachetną.

— Nieprawda!—zawołała gwałtownie Emilia.— Dlaczego miałabym być dobrą? Nienawidzę i pogardzam całą ludzkością, którą uważam za głupią, złą i podłą!

— I nie bardzo mylisz się pani w swoich wyobrażeniach... Ale jesteś za zbyt rozsądną, aby nie czynić wyjątków... Dowodem tego, że przyszedłszy zastaliśmy panią dotrzymującą towarzystwa pani Hérault jedynie dlatego, aby ją rozerwać w nieobecności wnuka.

Babcia żywo podniosło się z fotela i zawołała wesoło:

— Dobrześ pan powiedział, panie de Thauziat; w istocie złapaliśmy Emilię na gorącym uczynku miłosierdzia. Ale i o panu można coś podobnego powiedziéć, bo pomimo, że wygłaszasz pan zasady egoizmu, przyszedłeś jednak zjeść obiad ze starą i nudną kobietą i przez część wieczoru dotrzymać jej towarzystwa.

Thauziat wstrząsnął głową i rzekł z łagodnym uśmiechem, który rozjaśnił jego piękne i wyraziste oblicze.

— Niech pani nie uważa to za poświęcenie z mojej strony... Przychodzę do pani na obiad dlatego, że masz wybornego kucharza i grywam z panią w bezika, którego umiesz grać wybornie. Nie ma więc mowy o poświęceniu.

Oczy staruszki rozjaśniły się nagle i zwracając się do wnuka zawołała:

— Ludwiku przygotuj nam stół do kart.

— Posiedziemy z babcią do jedenastej — rzekł Ludwik. — Thauziat ma ochotę przegrać, niechże mu babcia da dobrą nauczkę.

— Bądź spokojny, Ludwiku, a ty Klemensie miej się na baczności.

Gdy pani Hérault z Klemensem zasiedli do kart, Emilia i Ludwik usunęli się w przeciwległy róg salonu. Siedzieli milcząc, każde własnemi zajęte myślami; Emilia z roztargnieniem puszczała obłoczki dymu, Ludwik zaś przenosił się duchem zdala od tego spokojnego pałacyku, dokąd zaledwo dochodziła wrzawa wielkiego miasta, gdyż duży dziedziniec z jednej a obszerny ogród z drugiej strony, przytłumiały zbytni hałas i turkot uliczny.

Młody człowiek zachwycał się w myśli uroczą postacią jasnowłosej kobiety, z twarzą białą delikatnym zabarwioną rumieńcem i błękitnemi jak niebo oczami. Śliczne zjawisko, mgłą fantastyczną owiane, migało w jego wyobraźni a zagadkowy uśmiech kobiety zdawał się mówić: „Zuchwalcze, czy ośmielisz się mnie pokochać? Gdy jednak wyznasz mi swą miłość kto wie co ci odpowiem? Pomimo pozornego chłodu i lodowatej obojętności, wulkan namiętnych uczuć wre w głębi mej piersi, lecz ożywiam się i przemieniam jedynie dla tego kto mnie bezgranicznem otoczy uwielbieniem... Przyciągnij mnie w objęcia, a usłyszysz żywsze uderzenia mego serca. Śmiałość i odwaga, to tajemnica wszelkiego powodzenia i tryumfu.

Nagle obok tego rozkosznego obrazka zjawiała się druga postać, brzydka i groźna zarazem, postać męża, szanownego sir James, jak drwiąco o nim wyrażała się Emilia. Sir James, z rudemi, kręte mi włosami, z twarzą czerwoną przez zbytnie użycie porto i małemi, czarnemi, świdrującemi oczkami, był uosobieniem brzydoty, stanowiąc tem większy kontrast z piękną swą żoną. Powolny i usiłujący być eleganckim, sir James mówił ciągle o swej uczciwości jakby nikogo pod tym względem nie chciał zostawić w wątpliwości. Obejście jego z piękną Dianną miało w sobie coś ojcowskiego; nie szczędził jej najczulszych i najsłodszych wobec ludzi tytułów lecz w gruncie rzeczy obojętnym musiał być małżonkiem, skoro nie odstręczał tłumu wielbicieli kręcących się ustawicznie koło pięknej pani.

Gdy z ust Anglika znikł na chwilę uśmiech, którym ciągle usiłował przystrajać oblicze, twarz jego nabierała dziwnie ostrego i niemiłego wyrazu. Któż byli ci ludzie, którzy przed dwoma laty zjawili się tak nagle na horyzoncie paryzkiego świata? Mieszkali w eleganckim pałacu przy ulicy Gabriel, ukazywali się w nowomodnych, najświeższych powozach, we wtorki wyprawiali proszone obiady a wieczorem bale.

Senator Lereboulley, ojciec Emilii, człowiek sześćdziesięcioletni, otyły i czerstwy z czarnemi włosami, których piękny kolor zawdzięczał doskonałej farbie, był poufałym gościem w domu państwa Olifaunt. Przynosił czarującej Angielce kwiaty i cukierki i nazywał ją poprostu Dianną. Państwo Olifaunt mieli widać kapitały lokowane w banku pana Lereboulley, gdyż widziano nieraz w ręku sir James czeki podpisane nazwiskiem Lereboulley.

Drugim serdecznym przyjacielem tego domu był Thauziat. Gdy go się wypytywano o przeszłość Anglika, Thauziat opowiadał, że pan Olifaunt pochodził ze szlacheckiej rodziny w hrabstwie Jorkshire i że ożenił się z miłości z córką pastora. Znał on ich dawno oboje, męża i żonę i przyczynił się wielce do ułatwienia im miłych stosunków towarzyskich, skoro osiedlili się w Paryżu.

On to zapoznał z nimi pana Lereboulley. Wiele razy Ludwik chciał zręcznie wydobyć od Klemensa więcej szczegółów o przeszłości jego przyjaciół z Anglii, Thauziat niechętnie odpowiadał na jego pytania i zbywał go ogólnikami.

Ludwikowi zdawało się, że postąpił bardzo dyplomatycznie, zwierzając się przed Thauziat i Lereboulley ze swoją gwałtowną dla pani Olifaunt miłością.

— Mój drogi, nikt ci nie broni starać się o jej względy — powiedział mu chłodno Klemens.

Senator zaś zmarszczył brwi gniewnie i zawołał z uniesieniem:

— Oszalałeś chyba mój drogi, czy nie wiesz, że to jest uczciwa kobieta?

Tak więc niepewność dręcząca Ludwika nie wyjaśniła się wcale. Pozory przemawiały na korzyść państwa Olifaunt, którzy prowadzili dom bardzo przyzwoicie, przyjmowali znajomych i przyjaciół, ludzi ze wszech miar godnych poszanowania i zwracali jedynie uwagę na siebie pewnym odcieniem oryginalności, który można było wybaczyć cudzoziemcom.

Jednakże jakiś tajemny instynkt ostrzegał Ludwika, aby nie bardzo ufał pozorom a w duszy jego zbudziło się dziwne podejrzenie, że przeszłość Dianny kryła niezbyt pochlebną dla niej tajemnicę. Co zaś do jej męża, mógł to być awanturnik, który nazwiskiem swem osłaniał niewłaściwe postępowanie pięknej pani.

Pogrążony w myślach, Hérault nie uważał, że Emilia bacznie mu się przypatrywała. Nareszcie westchnął jak człowiek, który napróżno łamie sobie głowę nad rozwiązaniem zawikłanej zagadki.

— Kto wzdycha ten pragnie czegoś — odezwała się Emilia, rzucając niedopalony papieros. Ja zaś zgaduję nawet powód twego smutku i założyłabym się, że wiem o kim myślisz?

— No, jeśli tak jest, to powiedz mi to proszę— rzekł swobodnie.

— Myślisz o naszej drogiej, pięknej Diannie.— Wszak prawda, że się nie omyliłam?

— Trudno byłoby mi zaprzeczyć.

— Przyznam ci się otwarcie, że wcale mnie to nie cieszy. Ale powiedz mi, gdzie się macie spotkać dziś wieczorem? Bo wiem, że razem będziecie na jakimś balu.

— Powiem ci ale pod sekretem, nie zdradź że przed nikim tajemnicy, którą ci powierzam. Idziemy na bal maskowy do księcia Vorésef.

— Co mówisz! — zawołała ze zdziwieniem Emilia — słyszałam, że na tym balu nie będzie ani jednej kobiety z dobrego towarzystwa, zkądżeby nasza skromna Dianna miała się zjawić w podobnem otoczeniu?

— W salonach księcia królować będą dzisiaj przeważnie pierwszorzędne gwiazdy naszej sceny...

— No, nie chcę bynajmniej ubliżać tym paniom ale...

— Ręczę ci — przerwał jej Ludwik, że bardzo wiele dam z wyższych sfer towarzyskich pójdzie przez ciekawość na bal dzisiejszy. Zresztą w masce można sobie pozwolić na niektóre wybryki i pójść tam, gdzieby się bez maski nie poszło... Przytem pani Olifaunt będzie pod dobrą opieką. Nie licząc sir Jamesa...

— O! tak, tak, możemy go pominąć...

— Więc oprócz niego będzie twój ojciec!

— Jakto? i mój poważny papa znajdzie się tam także, a cóż on tam będzie robił? Straci pewnie kilka tysięcy franków na różne przyjemnostki...

— Oprócz wyżej wymienionych będzie jeszcze Thauziat i twój najniższy sługa — dodał żartobliwie młody człowiek. — Widzisz więc, że przy tylu opiekunach...

— Diannie grozić będzie największe niebezpieczeństwo!

— Nie mówisz tego na seryo, Emilio.

— A ty czy nie żartujesz także ciągle? — odparła. — Zresztą wnosząc z twoich słów, domyślam się, że na tym balu będzie towarzystwo zupełnie dobrane... Przedmieście Saint-Germain i przedmieście Montmartre, połączą się w jedno kółko... i matka będzie mogła bez niebezpieczeństwa zaprowadzić tam swoją córkę... Ależ to wyborne, nieporównane...

I nachylając się do ucha swego przyjaciela szepnęła z przymileniem:

— Mój Ludwisiu, proszę cię zabierz mnie także z sobą... Takbym chciała zblizka przypatrzyć się temu zgromadzeniu...

— Żartujesz, Emilio!

— Bynajmniej, mówię zupełnie poważnie.

— Ależ, moja droga, nie masz przecie zaproszenia.

— Cóż to szkodzi, kto tam dopytuje się o nazwisko kobiety wchodzącej w masce a zresztą widząc mnie z tobą nikt nie śmiałby mi ubliżyć. Powiesz gospodarzowi, że jestem piękną Fatmą przebraną w kostyum paryżanki... Przekonasz się, że pod dominem zupełnie zrobię się do niej podobną. Ah! jakie to będzie zabawne! Wiem tyle ciekawych rzeczy o osobach, które spotkam bezwątpienia na balu, że intryga moja zajmie z pewnością nie jednego... A więc już umówione?... Nie lękaj się, ja ci nie będę przeszkadzać, gdy przyjedziemy na bal zwrócę ci wolność, sama sobą doskonale potrafię się opiekować a ten ktoby chciał obejść się ze mną bez należytego uszanowania...

Tu wybuch śmiechu przerwał jej mowę, po chwili dopiero dokończyła prostując swoją drobną postać:

— Omyliłby się grubo!

— No, dobrze — rzekł Ludwik — uczynię zadość twemu żądaniu ale pod jednym warunkiem: w zamian za moje ustępstwo powiesz mi wszystko co wiesz o pani Olifaunt.

Chmurka niezadowolenia przemknęła po twarzy Emilii, przygryzła usta i odezwała się z powagą:

— Cóż ja mogę ci powiedzieć o pani Olifaunt? Wszak ją znasz... wiesz zatem, że jest piękna, młoda i bogata...

Ludwik wahał się chwilkę, poczem patrząc badawczo w oczy panny Lereboulley, spytał:

— Powiedz mi, dlaczego twój ojciec tak żywo się nią zajmuje?

— A! więc to cię drażni?

— Nie inaczej. Pytałem Klemensa lecz zbył mnie ni tem ni owem. Ty nienawidzisz Dianny, ona zaś widocznie lęka się ciebie... Wytłomacz mi zkąd wypływa twój gniew i jej trwoga?

Emilia zmarszczyła brwi a oczy jej pociemniały z gniewu.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z DZIEDZINY NAUKOWEJ.

ELEKTRYCZNOŚĆ.

Najnowsze odkrycia w dziedzinie nauk przyrodzonych, oddają i przemysłowi niemałe usługi. Dowodem tego zastosowanie elektryczności jako czynnika służącego do spajania metali. Chociaż istota elektryczności nie jest jeszcze dokładnie znaną, siła jej jednak i działanie, wielkie nam niosą usługi i uczeni elektrotechnicy co rok prawie nowym obdarzają nas wynalazkiem. Dotychczas elektryczność służyła głównie do oświetlania miast, fabryk lub morskich przystani i galwanizacyi, w roku jednak ubiegłym, elektrotechnicy wpadli na myśl, aby oprócz światła zużytkować i ciepło tego potężnego czynnika.

Usiłowania ich pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem i metale spajane czyli lutowane za pomocą siły elektrycznej, przedstawiają w spojeniu daleko większą trwałość niż te, które spajane są na sposób dawny polegający na roztopieniu metalu miększego od tego, który ma być lutowany.

Zazwyczaj do lutowania używa się dotąd cyny, ołowiu lub miękkiego żelaza, powyższe jednak spajanie nie okazywało się zbyt trwałem i z tego też powodu zastosowanie elektryczności jest dla techniki faktem niezmiernej doniosłości. Próby nowego wynalazku odbywały się już w większych fabrykach w Petersburgu i powiodły się jak najpomyślniej, co potwierdzają również sprawozdania ludzi fachowych.

Dom bankierski Rotszyldów, postarał się już nawet o prawo eksploatacyi nowego wynalazku uznając tem samem jego praktyczność.

Nie będziemy opisywać szczegółowo w jaki mianowicie sposób odbywa się spajanie metali za pomocą prądu elektrycznego, gdyż opis ten byłby nieciekawy dla ogółu czytelników, lecz postaramy się w krótkości go wytłomaczyć.

Głównym czynnikiem przy spajaniu metali jest ciepło, pod wpływem którego metal mięknie, staje się podatnym a nawet topliwym. Ciepło zaś wytwarzające się z elektryczności jest bardzo silne o czem łatwo się przekonać, kierując prąd bateryi elektrycznej na mocny drut opierający się temu prądowi. W krótkim przeciągu czasu drut rozpala się do białości a następnie roztapia zupełnie.

Już oddawna elektrotechnicy usiłowali zastosować elektryczność do przemysłu, lecz nie mogli dojść do pomyślnego rezultatu; przed kilku laty Tompson w Ameryce poczynił także niektóre dość ważne pod tym względem odkrycia naukowe, lecz prawdziwa zasługa należy się panu Benardos, który w roku zeszłym, pierwszy z pomiędzy wielu innych szczęśliwie rozwiązał kwestyę i doszedł do pożądanego celu.

Sposób Benardosa jest bardzo prosty, topi on metale przeznaczone do spajania za pomocą łuku Volty, który powstaje między węglem, połączonym z biegunem dodatnim źródła elektrycznego a metalem przeznaczonym do spojenia i połączonym z biegunem odjemnym.

Chcąc otrzymać łuk Volty, należy dotknąć węglem do metalu i następnie węgiel odsunąć na kilka centymetrów, wtedy w skutek zetknięcia dodatniego i ujemnego bieguna, wytwarza się łuk świetlny o temperaturze niezmiernie wysokiej, dochodzącej do czterech lub nawet pięciu tysięcy stopni Celsyusza.

Pomimo tak silnego ciepła metal podlega stopieniu tylko w miejscu zetknięcia się z łukiem bateryi elektrycznej, co jest również niezmiernie ważną rzeczą. Łuk ten jednakże za pomocą rączki połączonej z węglem, daje się przesuwać na coraz inne punkta obrabianego przedmiotu, ułatwiając tym sposobem robotę.

Odkryty przez Benardosa sposób, znajdzie bezwątpienia szybkie zastosowanie w fabrykach i warsztatach, gdyż koszt jego urządzenia nie jest, stosunkowo dla wielkich fabryk, zbyt wygórowanym, nie przenosi bowiem kilkunastu tysięcy rubli.

Całe urządzenie składa się z maszyny dynamo-elektrycznej, motora służącego do wprawiania jej w ruch i akkumulatorów regulujących w miarę potrzeby siłę prądu.

Ten nowy sposób zużytkowania elektryczności zowią: *elektrohefestem*, o jego zaś praktyczności dowiemy się wkrótce więcej szczegółów, gdyż fabryki pp. Lilpop, Rau i Loevenstein zaprowadzą go wkrótce w Warszawie.

Jeszcze jedna okoliczność przemawia za wynalazkiem Benardosa: oto, że wszelkie maszyny będą mogły być naprawiane w całości bez rozbierania, co dotychczas było niemożliwem.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Turnieje artystyczne u nas na pięści i słowa, nawet w ustach szubrawców niemile brzmiące z coraz większą zajadłością występują na widok publiczny. Są pisma nawet niby poważne, co rozwinęły się, wzrosły i utuczyły, jedynie na brutalnych napaściach i skrzętnem notowaniu różnych skandalików.

Nie brakowało ich nigdy, ale dawniej co zbyt jaskrawe starano się przyciemnić, zbyt krzykliwe przyciszyć a tylko treść nieporozumienia jeżeli była godną tego, jawno uczynić.

Dziś drażliwość szczególniej artystów i literatów doszła do ostateczności.

Byle słówko nagany rzucone publicznie w łamach gazeciarskich, już rozpala przeciwników i zamienia w nieprzejednanych wrogów. Po sprzeczce słownej następuje kłótnia bez wyboru wyrażeń, potem kije i załebki, a w końcu sprawa ze wszystkiemi szczegółkami chluby nikomu nieprzynoszącemi, występuje najprzód w policyi a potem w łamach pism brukowych, niby odwołując się do wyroku opinii publicznej.

Skandal może zająć i zwykle zajmuje, jak walka kogutów lub zagryzanie się psów o kość im rzuconą. Ale co może publiczność obchodzić piśmienna sprzeczka w gazetach w kwestyi obchodzącej tylko powaśnionych, a pragnących głównie nie przekonać przeciwnika, tylko ukłuć tak dotkliwie, żeby wrzaskiem z bólu nawet głuchych zwrócił uwagę. Wprawdzie lubują się w tem niektórzy i podobne szermierki słowne ciekawie czytają, ale czyż choć-

by najdowcipniej prowadzone, nie ubliżają obu powaśnionym?

Walić się kijami, drzéć za łby, wymyślać od słów najordynarniejszych, to umie lada szuja na kupach barłogu wysypiający się w stanie nietrzeźwym. Gardzicie nim i prawie za człeka nie uznajecie, cóż lepszego robicie wy, co niby nauką i talentem przechwalając się, bojujecie pięścią i potem szczegółowo napaść na przeciwnika opisujecie w brukowych organach prasy?

O ileż więc wyższym jest ów biedak, wychowany z mniejszą od wołu lub konia troskliwością, od was moi panowie, których wyniańczyła troskliwa opieka rodzicielska, a talent i umysł wykształciła publiczna i książkowa nauka. Jeżeli nie dbacie o własną godność dbajcież o godność społeczności do której należycie, albo wyprzyjcie się żeście jej synami.

Przejdźmy teraz do wieści mniej smutnych a więcej interesujących i przynoszących niejaką pociechę.

Gdy u nas wiosna zawitała już, zdaje się na dobre, na północnych i zachodnich wybrzeżach morza Baltyckiego sroży się zima w najlepsze. Olbrzymie kry lodu tamują żeglugę na Baltyku, a w Sundzie na przestrzeni kilku tysięcy stóp leżą lodowe bryły. Śnieżyca trwająca przez cały dzień 26 z. m. na południowych wybrzeżach Szwecyi zniweczyła nadzieje jakiegokolwiek sprzętu zboża i innych płodów rolnych. Na ulicach w Sztokholmie leży śnieg na stopę wysoko, a komunikacya kolejowa w skutek znacznych zasp śniegowych w wielu miejscach przerwana. Do miast portowych: Rewla, Parnawy i Rygi statki jeszcze nie dochodzą.

Z Krakowa donosi nasz korespondent pod dniem 24 b. m.: Ze statutu zawiązującego się właśnie Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa i okolicy, wyjmuję określenie celów Towarzystwa, oraz środków, jakiemi zamierza je urzeczywistnić. Celem jest upiększenie miasta, a następnie, w miarę możności i okolicy, przez zakładanie parków, ogrodów, sadzenie drzew, wznoszenie posągów mężom dla kraju i miasta zasłużonym, tudzież posągów i rzeźb rodzajowych, zbudowanie wodociągów i wodotrysków, wybudowanie dworca gościnnego (kursalon), obmurowanie brzegów Wisły i urządzenie na brzegu spacerów (quais), oraz ogrodu zoologicznego, akwaryum, ogrodu aklimatyzacyjnego, upiększanie budynków za zezwoleniem właścicieli, zakładanie muzeów i zbiorów z różnych dziedzin nauki, przemysłu i sztuki, lub też zbogacanie już istniejących, stawianie kiosków, drogowskazów, ławek i t. p. Członkami mogą być ludzie pełnoletni obojej płci, zarówno w Krakowie jak i po za Krakowem mieszkający. Opłata trzy guldeny rocznie będzie najniższą, oprócz tego Towarzystwo przyjmować będzie ofiary tak w pieniądzach jak i przedmiotach, zamierza wreszcie zwiększać dochody przez urządzanie balów, koncertów, zabaw, loteryi fantowych i t. d.

Na wzór istniejącego już we Lwowie stowarzyszenia śpiewackiego, zawiązuje się także i w Krakowie „Lutnia". Rozstrzelone, a dość liczne siły wokalne w mieście, znajdą w nowem stowarzyszeniu wspólne ognisko. Towarzystwo muzyczne udziela inicyatorom życzliwych rad i pomocy.

Na tym naszym świecie, dziwnie nieraz się plecie. Na jednym z wieczorów w początku jeszcze karnawału, przedstawiony był pani X. i jej nadobnej córce pan J. młody, elegancki człowiek.

Pani X. przyjęła mile przedstawienie młodzieńca, który nawiasem mówiąc, wcale niezłe miał już stanowisko w świecie.

Zachęcony tą uprzejmością pan J., począł bardzo widocznie nadskakiwać paniom, szczególniej pannie, która mu bardzo się podobała.

Nadskakiwania te również dość mile były przyjęte i zakończyło się prośbą pana J. o pozwolenie złożenia wizyty.

Pozwolenie udzielono i zaraz nazajutrz pan J. pośpieszył złożyć swoje uszanowanie pani X.

Etykietalna karnawałowa wizyta nie była ostatnią i wreszcie oświadczył się.

Pani X. hrabianka z domu niezbyt chętnie przyjęła oświadczyny i ostateczną decyzyę w tej sprawie przelała na córkę, która zgodziła się bez wahania zostać żoną pana J.

Zdawało się zatem, że nic już niestanie na przeszkodzie do szczęścia przyszłej młodej pary, gdy nagle niewiadomo zkąd pani X. dowiaduje się, że narzeczony jej córki jest synem lokaja nieboszczyka jej męża.

Oburzenie i rozpacz pani X. nie miały granic, obwiniono pana J. o nikczemny podstęp, utajenie swego pochodzenia.

Nastąpiły przykre nader wyjaśnienia, wymówki i łzy. Okazało się wszakże, że pan J. ani domyślał się nawet, że jego ojciec mógł być kiedyś lokajem u państwa X.

Ojciec bowiem staruszek już, nigdy nie zdradził przed swem dzieckiem swojej przeszłości w charakterze lokaja, tembardziej, że dzięki szczęśliwym okolicznościom, los dał mu niezgorszą fortunę, w postaci kamienicy na przedmieściu, gdy w tymże czasie państwo X. utracili cały majątek.

Mimo to wszakże, pani X. ani słyszéć nie chciała o małżeństwie.

Dopiero rozsądne uwagi krewnych i przyjaciół, a niemniej gorąca miłość pana J., sprawiły, że pani X. przebaczyła mu „lokajskie synowstwo" i dała, wprawdzie gorzko płacząc, swoje przyzwolenie. A panna?

Była naturalnie posłuszną woli rodzicielki.

Cesarz brazylijski o wychowaniu. Znany pisarz paryzki Saint-Genest, bawiący obecnie w Mentonie, zaproszony został przez przebywającego tam również cesarza brazylijskiego i obecnie zdaje sprawę w *Figarze* z rozmowy, jaką miał z sędziwym monarchę. Don Pedro mówił między innemi: „Przeczytałem właśnie książkę o metodzie wychowawczej w Europie i muszę wyznać, że nie mogę podzielać zapatrywań szanownego autora. Jakkolwiek wykreślenie religii z planu nauk uważałbym za rzecz karygodną, niemniej udzielenie wpływu księżom na szkołę, wydaje mi się nierozsądnem. Kler ma niezaprzeczoną potęgę, ale nie ma nic piękniejszego, niż posiadać moc i nie posługiwać się nią. Co się tyczy nauczycieli w waszym kraju, to mogę tylko ubolewać, iż nie zajmują należnego sobie stanowiska i nie cieszą się należnym szacunkiem. W społeczeństwie waszem młodzi ludzie, posiadający sławne nazwiska lub wielki majątek, obierają w większej części karjerę wojskową, nigdy zaś zawodu nauczycielskiego. Nie uznaję podobnego przesądu. Gdybym nie był cesarzem, chciałbym być nauczycielem; byłbym dumny z możności rozwijania młodych inteligencyi i wskazywania im drogi do dobra, piękna i prawdy."

Wielostronna kobieta. Dzienniki paryzkie donoszą, iż w Nizzy zmarła małżonka byłego francuzkiego prezesa rady, p. Rouvier. Nieboszczka znana była bardzo w świecie artystycznym pod pseudonymem Claude Vignon. Pani Rouvier była wielostronnym talentem i zdobyła sobie imię zarówno jako rzeźbiarka, jakoteż i autorka. Pierwszą jej pracą, która w salonie r. 1852-go zwróciła uwagę była rzeźba przedstawiająca „Dzieciństwo Bachusa"! następnie wykonała znakomite popiersia Thiersa, Gavariniego i t. d., oraz piękne płaskorzeźby w bibliotece Luwru. Była ona także autorką zajmujących powieści, jak, *„Jeanne de Manguet"*, *„Revoltée"* i t. d. Nadto utalentowana ta kobieta była także sprawozdawczynią dziennika *Moniteur* w parlamencie i korespondentką brukselskiej *Indépendance Belge*. Po usunięciu się małżonka z urzędu, pani Rouvier porzuciła swoją działalność artystyczną i ograniczyła się do zarobku chleba powszedniego. Zmarła liczyła lat 56.

Charakterystycznemi dla stosunków belgijskich były sceny uliczne, jakie zaszły w Brukselli podczas ślubu kościelnego księżniczki Arenberg z księciem Croy-Dülmen w dniu 24 z. m. W wigilię tego dnia państwo młodzi ze świadkami stanęli do ślubu cywilnego w ratuszu w zwyczajnem spacerowem ubraniu, co liberalna ludność miasta poczytała za lekceważenie obrzędu cywilnego i postanowiono wyprawić manifestacyę przy kościele. Jakoż kiedy świetny orszak weselny zatrzymał się przed katedrą, a arcybiskup mechliński, otoczony duchowieństwem, przyjmował go u drzwi kościoła, zabrzmiała kocia muzyka i okrzyki: „Precz z arystokracyą! Precz z księżmi!" Piekielny hałas trwał przez cały czas ślubu, potem wychodzących z kościoła tłum osypał obelgami i gonił za powozami weselników aż do pałacu Arenbergów. Spotkanego po drodze generała Van der Smissen! lud powitał wołaniem: „Niech żyje powszechna służba wojskowa!" Gromadkę ludzi, którzy się sprzeciwiali manifestacyi, poturbowano, aż nareszcie wystąpiła policya w wojskiem i rozpędziła zbiegowisko.

Opera ruska za granicą. Dnia 1 Maja wystąpiła w berlińskim „Teatrze Wiktoryi" zorganizowana przez p. Lubinowa z Moskwy truppa śpiewaków ruskich, która ma wykonywać głośniejsze opery Glinki, Rubinstejna, Czajkowskiego, Sierowa i t. p. Truppa ta po krótkim pobycie w Berlinie, uda się do Paryża, Londynu i Brukselli na wystawę międzynarodową.

Kobiety w Finlandyi. Sejm finlandzki, jak donoszą dzienniki ruskie, uchwalił zrównać kobiety studentki z mężczyznami pod względem otrzymywania stypendyów w uniwersytecie w Helsingforsie.

Kobiety policyantami. W Anglii zaprowadzona została niedawno istytucya prywatnych policyantek, które spełniają swoje obowiązki w wielkich magazynach mód i w sklepach bławatnych w Londynie. Policyantki owe ubrane są według najświeższej mody i oprócz bacznego pilnowania kupujących, nabywają często towary dla przekonania się o uczciwości subjektów, oczywiście z polecenia właściciela danego sklepu. System ten okazał się bardzo praktycznym w zastosowaniu.

Polki na obczyźnie. Na odbytej przed niedawnym czasem wystawie introligatorskiej w New-Yorku, powszechną zwróciły uwagę roboty rodaczki naszej, panny Celestyny Micińskiej. Były to wielkie tomy „in folio" z pięknemi wyciskami, pomiędzy któremi znajdowało się kilkanaście tytułów polskich. Klementyna Wiśniewska, córka pedagoga zamieszkałego w Peszcie, otrzymała w Sorbonie pierwszą nagrodę za opracowanie tematu „O Pasteurze i jego wynalazkach".

— Powiedz Lolusiu co wolisz? — pyta pan X., urodą do poczwary podobny a starający się o serduszko panny Jadwigi — powiedz co wolisz, czy cukierek do zjedzenia czy baranka do zabawki?

— Jabym wolała, żeby mi pan nie dał buzi, bo Jadzia powiada, że pan taki brzydki, że aż strach!

* * *

W ostatnim katalogu czasopism amerykańskich znajdujemy następujące wydawnictwa: Gazeta dla zakochanych bez wzajemności, Dziennik mód dla zakładów pogrzebowych, Magazyn illustrowany dla chorych na wątrobę, Dziennik dla stróżów nocnych, Python, organ handlarzy wężami, Archiwum cierpiących na bezsenność, Tygodnik dla nieumiejących czytać (?) i Gazeta powszechna dla złodziei.

* * *

Wspaniałomyślność. Szef biura do pisarza: „Dziś są moje imieniny; (podając tabakierę) zażyj pan za moje zdrowie“.

* * *

Piotr Loti autor „Rybaka Islandzkiego“, bawił przed kilku tygodniami w Rumunii. Królowa Carmen-Silva przyjmowała go z odznaczeniem, jako kolegę po piórze. Po obiedzie, wyprawionym specyalnie dla utalentowanego autora, przeszła z nim do gabinetu, w którym zwykle pracuje.

— Chciałabym panu przeczytać—rzekła z uprzejmym uśmiechem — najpiękniejszą powieść, jaka od lat dwudziestu pojawiła się na półkach księgarskich.

I mówiąc te słowa wzięła ze stołu pięknie oprawną książkę i przeczytała zeń kilkanaście rozdziałów. Loti słuchał jej z wdzięcznością i wzruszeniem.

— Najjaśniejsza pani — rzekł, gdy zamknęła książkę — dopiero teraz poznałem sam siebie.

Na bogatej oprawie, odznaczonego przez królowę dzieła, złotemi literami wypisany był tytuł: „Rybak Islandzki“.

* * *

Na powitanie króla szwedzkiego we Florencyi przybyło na tamtejszy dworzec kolejowy mnóstwo pań, a pomiędzy niemi także i żona jednego z wyższych florenckich urzędników miejskich z córeczką. Mała, ujrzawszy króla, zbliżającego się do nich, pyta naraz swą matkę.

— Mamo, gdzie leży Szwecya?

Matka zakłopotała się wielce, odpowiedziała jednak po chwili namysłu:

— Tam, gdzie robią zapałki szwedzkie.

Odpowiedź ta wyrzeczona była półgłosem, mimo to jednak król Oskar usłyszał, uśmiechnął się i rzekł do córki uczonej matki:

— Poproś mamę, by dała ci w domu odpowiedź dokładniejszą.

* * *

Z żalu po ulubionej. Jeden z członków naszej śmietanki towarzyskiej, postradał niedawno ulubioną klacz.

Pan ów, był tak w niej rozmiłowany, że przed usunięciem jej, kazał uciąć ogon i grzywę, następnie z nich porobić: pierścień, w który osadził kosztowny szmaragd, dewizkę do zegarka, ramę do lustra toaletowego i... krawat.

* * *

— Wiesz mężu, że ten nasz pokój boczny, to trzebaby wynająć jakiemu przyzwoitemu kawalerowi.

— To lepiej nieprzyzwoitemu, bo ten dopiero wracać będzie na noc do domu, gdy my będziemy wstawać, noc więc zawsze będziemy mieć spokojną.

RÓŻNE MYŚLI.

Pracownik na niwie społecznej nie może być wielkim, jeżeli posiada tylko przymioty człowieka prywatnego.

Massillon.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Aleksavdrze Potrybowskiej. Ani Tygodnik nasz, ani Biesiada nie są w redakcyach prenumerowane, początkowe numera zatem z powieścią muszą być w oddzielnej przesyłce przesłane, co naturalnie koszt za sobą pociąga. Prosimy więc o przysłanie dokładnego adresu.

Panu Wł. Trzcińskiemu w Obodowie. Piosnki dość zręcznie ułożone, ale ogłoszenie ich musi się opóźnić.



PRZYJACIELA DZIECI

numer 19 wyszedł z druku i zawiera:
Podróż Mickiewicza. — Do skowronka (wiersz). — Widmo w jadalni (komedyjka). — Katedra w Worms (z drzeworytem). — Przewóz złota i dyamentów (z drzeworytem). — Natura i płody ziemi w Rossyi. — Grota Antiparos (z drzew.). — Zbłąkany. Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Rodzeństwo Dezerter (wiersz z drzeworytem). — Sukienka balowa. — Jaskółeczka (wiersz). — Na wszystko jest sposób. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Апрѣля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).